Ner 8. Kraków, 24go Lutego. 1863.

ROK III.

NIEWIASTA.

Prenumerata w Krakowie wynosi:

Bez mód:
Rocznie . . 6 zł. — c. w. a.
Półrocznie . 3 » — » » »
Kwartalnie . 1 » 50 » » »
Miesięcznie .— » 50 » » »
Z Modami paryskiemi:
Rocznie . . 10 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie . 5 » 10 » » »
Kwartalnie . 2 » 55 » » »
Miesięcznie — » 85 » » »

Prenumerata zamiejscowa wynosi:

Bez mód:
Rocznie . . 7 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie . 3 » 60 » » »
Kwartalnie . 1 » 80 » » »
Z modami paryskiemi:
Rocznie . . 11 zł. 40 c. w. a.
Półrocznie . 5 » 70 » » »
Kwartalnie . 2 » 85 » » »

»Niewiasta« wychodzi co tydzień.

Prenumerujący za granicą Państwa austr., Król. Polskiego i Państwa Rosyjskiego płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 zł. 30 cent. w. a. Nadesłane artykuły honoruje Redakcya zaraz po wydrukowaniu: arkusz druku od 20 do 50 zł. a. w. Autor sam cenę oznacza.— Rękopismów Redakcya nie zwraca.—Listy i przesyłki pieniężne należy **frankować** i adresować do **Redakcyi Niewiasty w Krakowie.** Prenumeratę w miejscu przyjmuje nietylko Redakcya, lecz i księgarnia p. Baumgardtena, równie jak wszystkie dobrze znane księgarnie.

KAROLINA KORDAJ (Corday).

(Dokończenie).

Po śmierci matki Karolina dostała się na wychowanie do klasztoru szlacheckiego, i odtąd przez długi czas nie widywała się z przyjaciołką swoją. Tu opowiadająca epizodycznie z niemałem oburzeniem opowiada o pierwszych pojawach rewolucyi w Caen, mianowicie o zamordowaniu przez lud hrabiego Belsunce. Był to młody człowiek, przystojny, który dniem przódy jeszcze najspokojniej małym wózeczkiem woził młode swe znajome po ulicach ogrodu. W roku dopiero 1791 zdybała się znowu opowiadająca z Karoliną, i to w sposób niespodziany. Przeniosła się do Caen niejaka pani Bretwille, kuzynka Kordajów, do której zjechała Karolina niespodzianie na czas dłuższy. Porzuciła ona klasztór, aby powrócić do ojca mieszkającego wówczas na wsi, lecz jak się zdaje dla nieprzyjemnych sprzeczek o różnicę zdań politycznych wolała do obcego przenieść się domu.

Pni Bretewille, osoba nie zła, ale drobiazgowa i bardzo oszczędna, mimo znacznych dochodów nie bardzo była rada przybyciu krewnej, którą ledwie znała. Ciekawe jest pierwsze zdanie jakie o niej wyrzekła.

„Milcząca i w sobie zamknięta, zdaje się ciągle Bóg wie o czem myśleć. Niewiem dla czego, ale ja się jej boję; ona wygląda, jakby co złego miała na myśli."

Dziwne to jest zdanie osoby dosyć ograniczonej, i to w chwili, kiedy Karolina nie miała pewnie jeszcze na myśli czynu późniejszego. Dowodzi to tylko, jakie wrażenie na ludziach prostych robiło poważne i surowe poniekąd usposobienie Karoliny.

Staruszka opowiadająca, taki nam daje portret Karoliny Kordaj:

„Wielkiego wzrostu i bardzo piękna, kibić miała kształtną, choć może za mocno odznaczoną; było wszakże w niej wiele szlachetności. Białość i świeżość twarzy była nadzwyczajna. Płeć jej miała przeźroczystość mleka, rumianość róży, a gładkość brzoskwini. Płeć twarzy była tak delikatną, że zdawało się zaprawdę widzieć krążącą krew pod powłoką liliowego kwiatu. Rumieniła się z wielką łatwością, i wówczas stawała się prawdziwie zachwycającą. Oczy jej lekko przysłonięte, były bardzo piękne i śliczną miały oprawę; broda wystawała nieco, co przecie nie psuło ślicznej harmonii całości. Wyraz tej pięknej twarzy był pełen słodyczy, równie jak i dźwięk głosu. Trudno sobie wyobrazić głos śpiewniejszy i więcej zachwycający; spojrzenie więcej anielskie i czyste; uśmiech więcej pociągający. Włosy płowe o jasnym połysku doskonale zgadzały się z całością twarzy; jednem słowem była to piękna kobieta. Nie trzymała się prosto; głowę bowiem miała z lekka naprzód pochyloną, i nieraz sprzeczaliśmy się z nią o to. Z uśmiechem przyrzekała poprawę, ale wnet wpadała napowrót w dawny błąd."

„Nadzwyczajna była siła charakteru w tej młodej dziewczynie. Od najmłodszych lat rozmiłowana w autorach greckich i rzymskich, miała już w sobie bez własnej świadomości wyrobione uczucia czysto republikańskie. Rewolucya francuzka ustaliła to tylko mocniej, co już wrodzonem było niejako w jej duszy mezkiej i dumnej. Starożytne cnoty wzbudzały jej podziw i zapał; natomiast pogardzała naszemi obyczajami miękkiemi i zepsutemi, a żałowała zawsze czasów Sparty i Rzymu. Jakoż rzeczywiście ona do tamtych należała czasów."

„Takiej rzeczypospolitej, mówiła nieraz, o surowych cnotach, o wzniosłych poświęceniach, o czynach szlachetnych, o jakiej marzyłam nieraz — takiej rzeczypospolitej niegodni są Francuzi, i nie są w stanie jej urzeczywistnić. Naród nasz jest zanadto lekki. Trzeba, by się przeistoczył, zahartował, poszukał w starożytności podań tego co piękne, wielkie, szlachetne, i zapomniał na tę lekkomyślność, która rodzi zepsucie i poniżenie ludów."

„W ogóle Karolina rzadko mówiła, wolała myśleć. Nieraz zapytana, zdawała się budzić z głębokiego zamyślenia. Zdawało się wówczas, jakby jej umysł wstrzymany nagle w jakiejś dalekiej pogoni, wracał z krajów odległych i nieznanych. Starożytne bohatyrki były

ulubionym tematem jej rozmów wszystkich, nieraz w kółku domowem z zapałem opowiadała o matce Grachów lub Korżoluna, o Paulinie, Porcyi itd. Zdaniem mojem, było w tem nieco pedanteryi, i bałam się, by się nie wydała śmieszną. Przestrzegałam ją w tej mierze, bo też nieraz, gdy wpadała w zapał i już miała na ustach jakiś przykład starożytny do przytoczenia, spojrzała nagle na mnie, i rumieniąc się zamilkła.....“

„Utrzymywano później nieraz, że panna Kordaj kochała się w hrabi Belrunie, o którego tragicznej śmierci wspominałam, a później w żyrondziście Barbaroux. Jak jedno tak i drugie jest nieprawdą. Hrabiego Belruna nietylko że nie kochała, ale wyśmiewała jego ruchy zniewieściałe. Z Barbaroux miała tylko stosunki jednakowej wiedzy politycznej. Żaden mężczyzna najmniejszego na niej nie zrobił wrażenia, i przeciwnie, nigdy nawet nie myślała ona o małżeństwie.“

— Nigdy, mówiła nieraz do mnie, nie wyrzeknę się mojej drogiej wolności.

„Serce jej bohaterskie zdolne było jednej tylko miłości — miłości ojczyzny; miłości najszlachetniejszej, której poświęcała wszystko. Ona była nieśmiałą nawet, i bez wszelkiej kokieteryi. Do tego była szczerze pobożną. Na punkcie wiary szczerość jej była nadzwyczajną. Żadnego nigdy nie czytała romansu; Waltera i Russa nie chciała wziąść do ręki; ledwie że historya filozoficzna obu Indyj Rajnesta, znalazła łaskę u niej.“

„Sprzeczaliśmy się nieraz. Szło nam głównie o to, że ja się rozczulałam nad losem Ludwika XV. *Wszystko dla króla* było godłem mojem. Karolina odpowiadała na to: „Królowie są dla ludów, nie ludy dla królów.“ Razu jednego siedząc w ogrodzie, czytaliśmy dzieje Karola I. Unosiłam się nad szczególnemi rysami poświęcenia się dla niego jego sług wiernych.“

— I jabym tak uczyniła, mówiłam, gdyby się coś podobnego stało we Francyi. Jabym się poświęciła dla króla, chciałabym umrzeć za niego.

— I jabym wiele uczyniła dla niego, odpowiedziała moja przyjaciołka, ale życiabym nie poświęciła, wolabym przecie zachować głowę moją.

„Słowo to nigdy mi z pamięci wyjść nie mogło, od czasu gdy ta piękna głowa padła pod toporem rewolucyjnym. Ona chciała żyć i zginęła. Ja, ileż razy umrzeć chciałam, i żyję dotąd, aby opłakiwać tylu drogich mi przyjaciół i boleć nad nieszczęściami swego kraju.“

„Wkrótce mieliśmy się rozłączyć... i to już na zawsze. Myśmy z matką miały się przenieść do Boven, jako do miasta spokojniejszego wówczas. Na dni kilka przed naszym wyjazdem pni Bretwille dawała dla nas obiad pożegnalny. Nigdy mi nie wyjdzie ten obiad z pamięci. Był na nim między innymi zięć Karoliny, który umyślnie przyjechał aby się pojednać z córką. Był także p. Turneli, daleki krewny Karoliny, który wraz z synem p. Kordaj miał jechać do Koblencyi, do zgromadzonej tam pod księciem Kondeuszem szlachty francuzkiej. Młodemu panu Tournelis podobała się bardzo kuzyneczka, i w rodzinie życzono sobie tego związku. Widzę moją Karolinę, jakby to wczoraj było. Cudnie była piękna, w jedwabnej sukience różowej o białych kratkach, i z różową wstążką w włosach. Pojednanie z ojcem było przyzwoite i czułe. Początek obiadu był bardzo wesoły. Młodzi emigranci wybierali się za granicę, jakby na czasową przechadzkę tylko. Karolina żartowała z nich, porównywując ich do Donkiszota. Śmiano się, żartowano, wszystko szło najlepiej. W końcu obiadu podniesiono zdrowie króla; wszyscy zerwali się jakby na zawołanie, prócz jednej Karoliny.“

— Zdrowie króla!.. powtórzono raz drugi.

Karolina została na miejscu, i kieliszka nie ruszyła. Ojciec spojrzał na nią zmarszczywszy brwi Matka moja dała jej z lekka znak ręką. Karolina spojrzała na nią tym swoim wyrazem spokojnym i słodkim, ale się nie ruszyła.

— Jakto moje dziecię!.. zagadała do niej matka moja. Nie chcesz pić zdrowia tego króla, tak dobrego i cnotliwego?

— Mam go za cnotliwego!.. odpowiedziała swym głosem śpiewnym i wdzięcznym; ale król z słabym charakterem nie może być dobrym, bo nie potrafi przeszkodzić nieszczęściu ludów.“

Tego samego dnia wjeżdżał do Cuen nowy biskup konstytucyjny Fauchet. Miał przejeżdżać właśnie po pod okna pokoju, w którym byliśmy zgromadzeni. Lud postępował za nim krzycząc: Niech żyje Naród!.. niech żyje biskup konstytucyjny!.. Młodzi ludzie nasi rozgniewani na Karolinę, chcieli wystąpić z jakąś demonstracyą. Pobiegli więc do okna w chęci wykrzyknienia wbrew ludowi: „Niech żyje król!“ Mogło nas to wystawić na pewną śmierć, bo lud byłby nas niezawodnie rozszarpał. Karolina porwała p. Tournelis za rękę i odciągnęła od okna na gwałt prawie.

— I nie boisz się pan? rzekła do niego, taką manifestacyą wystawić wszystkich obecnych na niebezpieczeństwo?.. Jeżeli pan tak chcesz służyć sprawie swojej, to wolisz zostać w domu.

— Wszakże pani sama—odpowiedział p. Tournelis żywo— dałaś tylko co przykład, jak trzeba obstawać przy zdaniu swojem.

— To co innego!.. odrzekła z uśmiechem. Ja mogłam tylko sobie zaszkodzić. Pan wystawiałeś na niebezpieczeństwo wszystkich tych, co byli z panem.

Na to nie było co już odpowiedzieć. Młody człowiek spuścił głowę i zamilkł.

„Rozjechawszy się pisywaliśmy często do siebie. Załuję mocno, że mi te listy prócz dwóch przepadły, ale matka moja bojąc się tak częstych w owym czasie rewizyj, popaliła je. W listach tych, które są wyryte w pamięci serca mego, odbija się niesmak jakiś i smutek pochodzący z własnej nieużyteczności; odcza-

rowanie po próżnych nadziejach. O polityce pisała jak najmniej, a zawsze z pewną ironią. Żartowała z emigrantów i ich nadziei chimerycznych; bolała nad mnogiemi nadużyciami ówczesnemi, a najwięcej temi, co były wymierzone naprzeciw religii i kościoła."

„Nagle z gazet dowiedzieliśmy się o tem okropnem zdarzeniu. Po nazwisku przekręconem nie poznaliśmy zrazu naszej Karoliny. Okropne było wrażenie jakiego doznałam, przekonawszy się o ile myliłam się w sądach moich o jej charakterze. Byś wszystko poświęcił temu, co u niej było przedmiotem jej myśli i uwielbienia — poświęciła ojczyźnie. Mniemała, że ofiarą krwi swojej zdobędzie koniec niesnasek domowych. I chwili się nie wahała."

— Życie o tyle miało wartości u mnie, mówiła nieraz, o ile mogło być pożytecznem.

Albo innym razem:

— Marat przemawiał codzień do ludzkich namiętności, aby umysły w błąd wprowadzać i fanatyzować. Myślałam, że gdy raz zgaśnie to zarzewie niezgody, wszystko wróci do porządku. Drżałam z radości na myśl, że aby tyle krwi oszczędzić drogiej, wystarczy ofiara życia jednej kobiety."

„Nikt jej nie namówił, i nikomu się nie zwierzyła. Wziąwszy raz postanowienie, odłożyła na bok wszelkie uczucia rodzinne i nieśmiałość dziewiczą. Jej serce dobre i tak ludzkie okryło się żelaznym puklerzem. Spokojna, silna, pełna rezygnacyi, w przekonaniu, że cios z jej ręki wymierzony, skruszy jarzmo tak nieznośne i zwróci ziomków na drogę myśli i uczuć szlachetniejszych, jednej łzy nad sobą nie uroniła, nie uczuła ani słabości ani zgryzoty, nie myślała ani o swej młodości ani o wdziękach swoich, ani o przyszłości, jakiej się miała prawo spodziewać. Rzeczą wiadomą jest, jak uskuteczniła swój zamysł, równie jak i to co pisała i mówiła później. Wiadomo także, z jaką odwagą szła na śmierć, piękna, spokojna, dumna i uśmiechnięta. Tłumy zamilkły na jej widok, i ci nawet co przyszli na to okropne widowisko by znieważać ofiarę, z mimowolną cześcią poglądali na nią."

Na tem kończy się ustęp pamiętnikowy, z którego korzystaliśmy, i na tem kończymy także, przekonani, że tych kilka rysów wystarczy do charakterystycznego uwydatnienia tej w swoim rodzaju niezwykłej, pięknej historycznej postaci niewieściej.

Z DALEKA.

Z daleka od ciebie, a tak ciebie blisko —
Myślą i sercem wciąż rozmawiam z Tobą —
Rozmawiam o tem, jako mię żałobą
Okryło dzisiaj świata pośmiewisko;
Rozmawiam o tem, jako wciąż nadzieją
Zwodnicze gwiazdy z nieba mi się śmieją.

A ty — samotna, jako ja samotny, —
Błądzisz marzeniem po przyszłości światach —
I duch twój wiarą i nadzieją lotny,
Błąka się z tobą w idealnych kwiatach;
I w tem największą łaskę czcisz niebieską,
Gdy się twe oko rozweseli — łezką.

A ja — modlący się z wiarą — pokornie,
Z ręką na sercu w pracy znojach tonę —
I choć los ze mną igra tak upornie...
I szczęście dla mnie... tak zimne.. uspione
Wiecznie pod swoim stojący sztandarem,
Pojąc się żółcią... poję się łez czarem.

Bo ten czar łzawy także mi uroczy,
Że się doń serce uśmiecha z rozkoszą —
I chociaż ciężar przeciwności tłoczy...
Tak się z nim myśli swobodnie unoszą,
Że... oderwawszy mię z ziemi swą siłą,
Stwarzają cudy, w których marzyć miło.

Lecz czekaj! powiesz, że wieczne marzenie
W piosnce mej, jako w ptasząt śpiewie.. dzwoni—
Czekaj — a poznasz, że całe złudzenie,
Jest mi jedyną pogardą na skroni.
Mnie piękność świata bawi urojeniem,
Bo świat—mnie; świata jest... odźwierciedleniem.

To, na co patrzą światowi rachmistrze
Co mierzą cerklem, wagą albo całem,
To tem mniej warte, im jest rzeczywistsze,
Bo rzeczywistość dla mnie wiecznym żalem.,.
Z rzeczywistością ja związki zerwałem:
Bom od natury karzeł... mojem ciałem.

Piękność... na oko — ja gardzę pięknością,
Bom duszy tylko pokochał śliczność —
Więc mój świat cały przed rzeczywistością
Stanął... jak upiór... tłuszczy ciemnotę
Straszy swej nazwy pojedyńczym chrzestem:
Bo ja upiorem między ludźmi jestem.

Znasz piękne dzieje wielkiego Konrada
Co wdział na siebie strój Niemca dla zdrady.—
Chociaż ofiarą była taka zdrada —
Znasz go — więc patrzaj, twój kochanek blady
Stał się Konradem ducha... dla tych ludzi,
W których się serce nigdy nie obudzi.

To rzeczywistość moja! to cel życia:
Zrzucić raz ciało... by się wyanielić..
Grzechy żywota wydobyć z ukrycia,
I świat swą zdradą ducha rozweselić...
I dla najdroższej wypić jad macierzy,
Co śpiewa gorzko z niewolniczej wieży.

Znasz mnie; masz mego ducha przeźroczystość;
Więc się już nie żal, że tak wiecznie marzę —
Czemże być mogę tam, gdzie rzeczywistość
Pomalowana... ceni w ludziach twarze? —
Czemże być mogę — w tej rachuby świecie...
Kiedy mnie świat wasz — jak upiora zmiecie?!

Jan Kanty Turski.

Po sześciu latach.

Powieść.

(Ciąg dalszy.)

II.

Pięć lat minęło od wyjazdu Maryni z panią Mielczyńską. Pięć lat... jakże-to krótki przeciąg czasu dla człowieka zwyczajnego, żyjącego z dnia na dzień, bez trosk, bez namiętności, nie wspominającego sobie nigdy przeszłości, nie troszczącego się nigdy o przyszłość... słowem dla człowieka żyjącego bez celu — a z drugiej strony jakież-to wieki dla ludzi serca i myśli... jakżeż-to nie jeden dzień staje się wiekiem dla oczekującego czegoś, co się wiąże z najskrytszemi tajnikami serca, co rozbudzi w umyśle i duszy drzemiącą przeszłość......

Pięć lat minęło... i znowu znajdujemy się w tej samej cichej wiosce górskiej. Widzimy te same chaty tylko więcej starością ku ziemi pochylone — a wśród nich domek Cyryla — przed nim taż sama grusza... pod nią taż ławeczka. Wszystko tak jak było..

Jedna tylko różnica. Przedtem widzieliśmy wioskę jak wystrojoną na wesele pannę młodą w kwiecie wieku, pełną życia... uśmiechającą się różnobarwnemi łąkami i polami, okoloną jakby dla ochrony od wiatrów gęstemi kosami splecionemi z zielonych drzew zasłanych na okolających ją górach ... i piękna zalotnica przeglądała się w przejrzystym strumyczku a tak była ze siebie zadowolona, że aż drgała z radości, odbita na powierzchni spokojniutkich falek rzeczułki, swojemi nad jej brzegiem stojącemi drzewami i chatkami... teraz zimny śnieg zasypał jej zieloność... jej wdzięki i okrył biedaczkę białym zimy całunem a rzeczka zmarznięta i spokojna przeciągła się przez nią jak zmarszczek na starca obliczu.

Było-to w lutym — śnieg gęstemi szmatami sypał się z nieba już od kilku dni... dróżynką, od cerkwi do domku Cyryla prowadzącą, z wielkim mozołem przez zaspy śniegu przekopaną, postępowało dwóch ludzi.

— I cóż mu się tak nagle stało? zapytał naprzód postępujący.

— Mój ojcze drogi — łkając mówił drugi — tak już prawie od roku, po każdem odebraniu listu, a było ich trzy, a nigdy mi ich pokazać nie chciał, zapadał księże proboszczu, jak to zapewne wiecie, w dwu lub trzy-tygodniową słabość... lecz to jakoś szczęśliwie mijało... ale teraz odebrał znowu przed trzema dniami list... położył się — myślałem że i tym razem przeminie słabość jak już tyle razy, gdy dzisiaj zawołał mnie do siebie i mówił... ale bardzo słabym głosem: „Mój Stasiu, proś księdza proboszcza do mnie — przeproś go, że sam mu służyć nie mogę — ale jestem bardzo słaby... siły mnie opuszczają... ostatnia godzina zbliża się... pragnę duchownego pokarmu na drogę do wieczności... życie moje na godziny policzone" i Staś rzewnie zapłakał.

Proboszcz, szanując boleść młodego towarzysza, postępował w milczeniu. Stanęli u drzwi Cyryla.

Cyryl leżał na łóżku — łojowa świeczka, ustawiona na przymurku za piecem, słabe rzucała światło na chorego. Twarz blada Cyryla nie zdradzała najmniejszego niepokoju — spostrzedz można było na niej tylko boleść niewysłowioną....

— O dziękuję ci księże proboszczu — mówił słabym głosem Cyryl, gdy drzwi się uchyliły i paroch ze Stasiem stanęli na progu.

— Niech będzie pochwalony!....

— Na wieki wieków!.. wyszeptały usta chorego....

— Księże proboszczu — mówił po małym przestanku chory — czuję, że się godzina śmierci zbliża... za kilka godzin dusza moja stanie przed najwyższym sędzią.....

— Zkądże takie myśli?.. nie możesz oznaczyć ni dnia ni godziny, w której cię przedwieczny powoła przed swój majestat. Pewność taka w oznaczeniu chwili zgonu jest grzechem — wyrzekł uroczystym głosem proboszcz.

— O nie! księże proboszczu, — westchnął prawie Cyryl — jest to skrucha grzesznika, któremu Bóg litościwy, pomimo zbrodni i grzechów któremi duszę swoją obarczył — dał jeszcze tyle użyć łaski i miłosierdzia swego, że może przeczuć zgon bliski, a wynurzywszy się przed kapłanem doznać ulgi w przyszłem życiu.

— Słucham cię mój kochany.

— Stasiu! wyjdź na chwilę — mówił Cyryl do syna... po chwili zaś, gdy Staś stanął na środku izby i zawahał się widocznie, dodał: masz słuszność synu, że się wahasz — tobie potrzeba ostatniego błogosławieństwa ojca, bo kto wie, czy wróciwszy napowrót do tej izby, zastaniesz twojego ojca przy życiu.

Staś rzucił się na kolana przed łożem starca i całował jego ręce i nogi.

— Ojcze! ojcze! — wołał łkając — więc ty mnie chcesz opuścić, opuścić na zawsze!

— Taka jest wola przeznaczenia! — odrzekł uroczyście starzec.

— Samego, samego jednego na tym Bożym świecie... sierotę...

— To kara Boża... syn za ojca — wyszeptał sta-

rzec — Staś, wijąc się u nóg ojca, nie słyszał tych słów.

Nastąpiła dość długa chwila milczenia, przerywana jeno łkaniem Stasia, tykotaniem jednostajnem starego ściennego zegara, i szeptem modlitw proboszcza Dwie duże łzy zaśklniły się na rzęsach Cyryla — westchnął głęboko, nie otwierając oczu, osłabioną ręką namacał głowę Stasia... a położywszy na niej swoją dłoń, mówił do niego:

— Stasiu... nie płacz, wyroku Bożego nic cofnąć nie może. Płacz na nic się nie zda. Ulży on wprawdzie twojemu sercu, ale mojemu twoje głośne łkanie okropny ból zadaje. Zda się, że jest przeznaczone, abyś sam o swoich własnych siłach już odtąd dalej w świat się wbijał... O jedno cię tylko proszę... a uskutecznienie tej mojej ostatniej woli do ciebie należeć będzie..

Spazmatyczny płacz Stasia przerwał mowę konającemu..

Po chwili mówił Cyryl:

— Stasiu! Pogrzeb człowieka jak ja ubogiego, powinien być skromny. Prosta z czterech desek zbita trumna niech mu odtąd zastąpi ten domek, w którym przez dwadzieścia kilka lat przemieszkał. Kilku znajomych i przez cały ciąg mojej tu bytności, życzliwości i przyjaźni dowody okazujących mi włościan będzie dla mnie orszakiem najsutszym pogrzebowym, a śpiew naszego poczciwego proboszcza zastąpi najpiękniejsze kantaty. Stasiu, każ mi wykopać grób koło mogiły matki Maryni... to moja ostatnia prośba... stłumiony płacz starca przerwał mu mowę... po chwili podniosłszy się z trudnością na łożu i objąwszy obiema rękami głowę syna, mówił: Stasiu, synu mój, daję ci ostatnie błogosławieństwo, nie będę ci dawał nauk, bom wszczepiał w twoje młode serce i umysł, od twoich lat dziecinnych zasady, któremi kierując się, da Bóg, staniesz się ziomkom pożytecznym, a nie będąc nikomu ciężarem, przejdziesz to życie doczesne spokojnie, cicho, a wtenczas, co ci daj Boże! mój synu, staniesz przed tronem Najwyższego, z duszą nieobarczoną, winą krzywdy bliźniego... Bądź zdrów mój synu... módl się za twojego ojca. A teraz opuść nas Stasiu.

Staś wybiegł prawie nieprzytomny na dziedziniec.

Gdy już Cyryl sam na sam został z proboszczem, prosił go, aby się przybliżył do jego łoża.

— Księże proboszczu—mówił—usłyszysz ode mnie opowieść całego mojego życia—będzie to spowiedź—mógłbym ci wprawdzie wyliczyć wszystkie przewinienia bez dodatku okoliczności, które mnie do nich spowodowały...i prosić o rozgrzeszenie, lecz... chociaż Stwórcą czyta w mojem sercu, to chciałbym i ciebie zrobić moim powiernikiem byś o mnie źle nie sądził i po śmierci poczciwą pamięć o mnie zachował.. Synowi mojemu—sam się później domyślisz, usłyszawszy wszystko, dla czego nie chciałem tego, co tobie wyjawię, powiedzieć — co sam będziesz uważał za potrzebne, oznajmisz mu — odetchnąwszy nieco i wypocząwszy schorzałym piersiom zaczął Cyryl w ten sposób wyznanie swoje:

.... Moje nazwisko, pod którem mnie tutaj znacie od lat dwudziestu, jest zmyślone, właściwie nazywam się Dziedziewicz — urodziłem się na Podolu. Ojciec mój posiadał znaczny majątek a miał nas tylko dwoje. Do szóstego roku życia mojego chowano mnie w domu — później niewiem dla jakich przyczyn oddano mnie bogatemu bezdzietnemu stryjowi, który sam kierował mojem wychowaniem. Jakie to było wychowanie, można sobie wystawić gdy powiem, że w dwudziestym roku życia miałem głowę pełną najrozmaitszej wiedzy ale serce próżniusieńkie. Celem życia było u mnie użycie. Majątek stryja którego mnie spadkobiercą ogłosił, podawał mi środki do rozkosznego przepędzenia tych krótkich chwil, które nam Stwórca na tej ziemi przepędzić pozwala. Dwudziestoletniego chłopaka puszczono samego z najgorszemi zasadami ale napchaną kieszenią za granicę. Zwiedziłem Włochy, Francyę, Anglię. W Niemczech, a było to jakoś w czwartym roku po opuszczeniu ojczyzny, odebrałem list w którym mnie mój stryj wzywa, abym natychmiast powrócił do domu, gdyż czuje się bardzo słabym i blizkim zgonu. Byłem do tego stopnia popsutym i wyzutym ze wszystkich uczuć... słowem nie miałem tak dalece serca, że wiadomość o ciężkiej chorobie opiekuna i dobrodzieja, któraby każdego innego, na mojem miejscu będącego człowieka przeraziła — mnie do najwyższego stopnia uradowała. Myśl że posiądę tak ogromny majątek, że pełną czarą będę mógł używać rozkoszy tego życia, malowała mi najcudowniejsze w umyśle obrazy. Przybywszy do domu zastałem stryja już na katafalku — wierny jego sługa oddał mi testament najformalniej spisany, mocą którego wszedłem w posiadanie całego majątku, a jeszcze trawa nie porosła mogiły opiekuna, gdym już puściwszy się w świat znaczną część odziedziczonej fortuny przetrwonił. Na kilka listów przez matkę pisanych, której od ośmiu lat nie widziałem, nic nie odpisałem.. Pięć lat rozpustnego życia a spadek stryjowski pochłonęła rozpusta i szulerka. Goniąc już ostatkami, dowiedziałem się o śmierci ojca i o ciężkiej chorobie matki. Pobiegłem czemprędzej do rodzicielskiego domu, który dzieckiem opuściwszy nigdy później nie odwiedzałem. Matka zdawało się jak gdyby czekała na moje przybycie — i walczyła ze śmiercią. Pobłogosławiwszy mnie i oddawszy mi w opiekę o dwadzieścia lat młodszą ode mnie siostrę moją — umarła...

Cyryla opuszczały widocznie siły, oddech stawał się coraz krótszym i cięższym. Po chwili zebrawszy wszystkie siły mówił dalej:

... Nie potrzebuję już rozwlekać mojego opowiadania, bo się domyślisz ojcze, com zrobił z majątkiem rodzicielskim—strwoniłem go jak i stryjowski— okradłem siostrę moją, bo sprzedawszy majątek a ją od-

dawszy na pensyję, sam z pieniędzmi ujechałem za granicę. Co się z biedaczką stało, nie mogłem się dowiedzieć — a przecież Bóg czuwał nade mną, że nie dopuścił abym utonął w kale zepsucia.. Okropne życie rzuciło mnie na łoże boleści. Przetrwałem ciężką chorobę, ale wstałem z niej poprawiony. Przez cały czas słabości pielęgnował mnie mnich bawiący w tem samem mieście... poczciwy widząc rodaka zbłąkanego, wziął sobie za zadanie wprowadzić go na drogę cnoty i dokazał tego. Ubogi ale odmieniony powróciłem do kraju....

(*C. d. n.*)

Ramoty starego Detiuka

O WOŁYNIU,

zebrał

ANTONI ANDRZEJOWSKI.

Poprawiona zalotnica.

(*Dokończenie.*)

Wróciwszy na Polesie, p. Urbanowska zamieszkała u szwagra. P. Krzysztof uwiadomiony o wszystkiem od starosty nowogrodzkiego, oczekiwał jego przybycia, odwiedził bratowę i na mieszkanie do Cepcewicz zapraszał, ale odrzuciła wezwanie, warując tylko sobie odwiedzanie syna i bywanie jego u matki. Nadjechał p. Czacki i p. Urbanowska do Cepcewicz przybyła. P. Czacki ułożył pomyślnie dla niej cały interes, wypłacono jej intercyzą zapewnione 20,000 zł. i dano na własność ładną wioskę z Cepcewickiego klucza, gdzie p. Krzysztof zobowiązał się wystawić dom porządny i całe gospodarstwo w przeciągu roku zaprowadzić, a tymczasem p. Urbanowska zamieszkać miała cały jeden pawilon Cepcewickiego pałacu. Zrzekła się pretensyi do opieki nad synem, warując sobie, iż skoro zamieszka w swojej wiosce, Teodorek każde święta u niej przepędzi. Stanął pokój, i p. starosta zadowolony obu stron powolnością pożegnał Ludwikę i do Warszawy powrócił. W rok potem p. Urbanowska zamieszkała w Trosteńcu, p. Cześnik pomagał jej w gospodarstwie, syna często przywożono i po kilka dni bawił, nawet p. Krzysztof nierzadko i uprzejmie ją odwiedzał; i była zupełnie szczęśliwą, i Warszawa z głowy jej wyszła.

We dwa lata później zachciało się p. Urbanowskiej pojechać na kontrakty do Dubna. Z dochodów wioski grosz się zebrał, bo go stracić nie było na co, a i 20,000 leżało w całości. Z tych zasobów wypłaciła 100 czer. zł. p. Koniuszewskiemu, ale szwagier procentu nie przyjął. W Dubnie znaleźli się znajomi obywatele z Wołynia i z Warszawy. Ludwika zaraz po przybyciu udała się do p. kasztelanowej Przyłuskiej, której dawno już nie widziała. Mile ją przyjęła kasztelanowa i wymawiała, dla czego owdowiawszy, u niej przytułku nie szukała; „ale to już przeszło“ mówiła dalej „powiedzże mi jak ci się w Warszawie powodziło?“ Ludwika opisywała cały swój pobyt w stolicy, wiele okoliczności opuściła, a o upominku królewskim ani wspomniała. Kasztelanowa zajmowała cały większy dom Urbanowskich i część jego bratowej ustąpiła. Dom kasztelanowej, otwarty i mnóstwo bywało u niej codziennie osób dystyngowanych płci obojej. P. Urbanowska, której byt dobry i spokojność całą świeżość wdzięków wróciły, zajaśniała znowu w towarzystwach. Żywość naturalną przytłumiło cokolwiek doświadczenie, a zalotność, rozwinięta w Warszawie, lubo w przyzwoitości granicach pozostała, zachwycała jednak jeszcze mężczyzn, a dam nie obrażała. Książę Michał Lubomirski zebranych u siebie kontraktowych obywateli mile przyjmował, zamek rozlegał się dźwiękami wybornej jego muzyki, sale brzmiały hucznemi balami,— Pierwszą pięknością Wołynia i Ukrainy była p. Protowa Potocka, synowica księcia, pierwszą po niej mężczyźni przyznawali p. Urbanowskę, i książę zdanie ich podzielał. Powodzenie Ludwiki na świecie dubieńskim było wielkie, ale wsparta radami p. Przyłuskiej miała się na ostrożności.

Przy p. kasztelanowej bawił, pokrewny p. Wiktor Urbanowski, młody człowiek, nie piękny, ale bardzo miły z charakteru i prezentowania się w towarzystwie a na wieczorach u p. Przyłuskiej był gospodarzem. Następował takowy wieczór, p. Wiktor całując rękę kasztelanowej, zapytał: „czy pozwoli ciocia zaprezentować sobie, świeżo tu przybyłego z Warszawy kawalera?“ „I owszem, ale któż to jest? „P. szambelan Płotnicki.“ „A ha, ha, znajomy Ludwice z Warszawy, ma być piękny i pięknie ukształcony?“ „Niezawodnie. Wyznać potrzeba, że piękniejszego nad niego kawalera w naszem zebraniu nie mamy, a o ukształceniu tego, który był paziem naszego króla, czyż wątpić można?“ „Więc proszę wprowadź, miło mi będzie poznać p. szambelana.“ O zmroku zjeżdżali się goście na bal do kasztelanowej, cała wyższa noblessa opóźniała się, szlachta demokratyczna zebrała się najpierwsza. Ludwika pięknie ubrana w białej atłasowej kwitce z gazową kwiatami obszytą spodnicą, na głowie opaska z aksamitu, spięta fermoarem królewskim i białe pióro, w uszach kulczyki do fermoaru należące. Świetniała tego wieczora i równie pięknej sobie nie miała. Rój młodzieży ją otaczał, każdy rad był choć jedno uchwycić spojrzenie, ale to spojrzenie na nikogo jeszcze nie padło. P. Wiktor wprowadził p. Płotnickiego, uprzejma gospodyni mile powitała gościa, Ludwika zarumieniła się, nieco zmięszała, ale to tylko chwilkę, wnet przyszedłszy do siebie grzecznym ukłonem odpowiedziała na powitanie szambelana. „Pani tak łaskawa raczyłaś mię sobie przypomnieć?“ „Dobrych przyjaciół się nie zapomina.“ „Więc pani mię tym drogim

tytułem zaszczycać raczysz?“ „Czyż nie znaliśmy się w Warszawie;“ „W Warszawie, rzekł westchnąwszy: czyżbym śmiał był ubiegać się o względy pani?“ „Zapomnijmy o tem, a teraz bądźmy dobrymi przyjaciołmi!“ To rzekłszy podała do poloneza rękę, którą z uczuciem ucałował. „Pani mię nie pytasz o nowiny Warszawskie?“ „Przez lat trzy zamieszkania mego na wsi, pobyt mój w Warszawie poszedł w zapomnienie.“ „A jednak pamięć jej dotąd tam pozostała.“ Ludwika badawczy wzrok rzuciła na szambelana, i radaby była coś usłyszeć o królu, i bała się, ażeby o nim nie wspomniał. Płotnicki dalej rzecz prowadził: „Pani krakowska zawsze panią wspomina, inne damy radeby cię w wiecznej niepamięci zagrzebać, boś pani nie w jednem sercu drogie wspomnienie zostawiła,“ „Nie mam ciekawości wybadywać pana o tem, co się stało po moim wyjeździe z Warszawy, a co było przed wyjazdem, z odmianą mojego położenia, w niepamięć poszło. P. staroście nowogrodzkiemu dozgonną zachowam wdzięczność, a więcej dla nikogo nie mam obowiązków.“ „Dla nikogo?“ „Masz pan szłuszność, tak masz pan słuszność: macicrzyńska protekcya p. krakowskiej głęboko w sercu mojem zapisana, a jej upominek do zgonu mię nie odstąpi.“ „Czy i inne upominki z Warszawy tejże są ceny?“ zapytał Serafin, poglądając na klejnoty p. Urbanowskiej. Zmięszała się Ludwika, zabierała się na odpowiedź, a tymczasem taniec się zakończył.

Weszły tańce skoczne, Płotnickiemu nikt w nich nie wyrównał. Ile było dam, każda zażądała być wybraną przez pięknego tancerza, on udzielał się wszystkim, najwięcej jednak tańczył z p. Urbanowską. Pochlebiało to wdowie i przy podziękowaniu za taniec, nie jednem uściśnieniem ręki dała mu poznać swoje zadowolenie. Na prośbę księcia, tańczył z księżną menueta, potem z innemi damami, mattlota, peregordin, ale kiedy z Ludwiką posunął allemanda, wszyscy zachwyceni byli pięknością tańca na prowincyi nieznanego, a jeszcze więcej pięknością pary tańcującej. Głośny okrzyk malował jawnie zachwycenie całego zgromadzenia, książę dziękował obojgu tancerzom i zamówił sobie powtórzenie tej przyjemności na następnym u siebie balu. Allemand ten zwyciężył wdowę, przypomniała sobie Płotnickiego w Warszawie, poznała jakie były jego podówczas uczucia i życzyła sobie w duszy, ażeby trzy lata rozdzielenia uczuć tych w sercu pięknego Serafina nie zatarły. Szambelanowi również przeszłość stanęła w oczach. Ludwika zawsze piękna, pani swej ręki, o! gdyby uczucia jego podzielać chciała! Ale Płotnicki szczupłego był majątku, liczną miał rodzinę na Litwie, a wioska jedna... ledwie wystarczała na skromne szlacheckie utrzymanie. Nie śmiał więc podawać się lubemu marzeniu pojęcia w małżeństwo pięknej wdowy.

Nazajutrz po balu p. Przyłuska zapytała Ludwiki, co sądzi o swoim tancerzu? „A wie ciocia, w Warszawie nie przypatrzyłam się p. Płotnickiemu, paź mało mię interesował.“ „Bo może wyżej oczy twoje bujały.“ Zapłoniła się Ludwika, i oczy spuściła, kasztelanowa mówiła dalej: „Ale jakże znajdujesz szambelana?“ „Bardzo dobrze.“ „I podobał ci się?“ „Możeż nie podobać się człowiek tak dobrze ukształcony?“ „I poszłabyś za niego?“ „Nad tem, kochana cieciu, pomyśleć potrzeba. Nadto byłam szczęśliwą z Michałem, ażebym się mogła spodziewać podobnego szczęścia za drugim.“ „Ale tak młoda, myśliszże we wdowieństwie czekać starości?“ „A tyż ciociu nie jesteśże szczęśliwą?“ „Szczęśliwą? bez potomstwa? A potem uważ, że ja owdowiałam o wiele lat starszą od ciebie.“ „Zostawmy to czasowi, co mi przeznaczone, to mię nie minie.“ Na następnych balach, wszędzie Serafin i Ludwika świetnieli wpośród młodzieży i powszechnem zdaniem było, że dla siebie stworzeni. Szambelan przed wyjazdem z Dubna, na pożegnaniu u p. Przyłuskiej, otrzymał pozwolenie w przejeździe do Litwy odwiedzić p. Urbanowską w Trosteńcu. Wróciła Ludwika do domu, ale klejnoty przypominające Serafinowi Warszawę ustąpione ks. Józefowej Lubomirskiej, za znaczną sumę pozostały w Dubnie. P. szambelan w Trosteńcu oświadczył się, otrzymał przyrzeczenie, a we trzy miesiące po powrocie z Litwy, p. Urbanowska została szambelanową, szczęśliwą małżonką pięknego Serafina.

W lat kilkanaście syn jej Urbanowski był już pełnoletni, z Płotnickim miała trzech i najstarszemu było już lat dziesięć. Różnie bywało w ich pożyciu, można jednak oddać sprawiedliwość Ludwice, że mimo wyskoków p. Serafina, kochała go, najlepszą była żoną, chociaż, jeszcze pięknej, na wielbicielach nie zbywało.

KONIEC.

JESIEŃ W WALII.

(Wyjątek z dziełka niemieckiego Rodenberga.)

Ze wszystkiego, co Rodenberg opowiada o podaniach i zwyczajach ludu hrabstwa Wales, odznacza się niezaprzeczenie żywem i świeżem skreśleniem, obraz wiejskiego wesela, przypominający w niektórych szczegółach, nietylko na średniowieczne zwyczaje rycerstwa, ale także na starożytne gry, szermierstwa Greków i Trojan.

Oto co autor pisze:

..... Nadszedł nareszcie dzień wesela. W górach już dość zimne dnie nastały; cały dzień paliłem ogień na kominie. Powietrze było czyste a około południa bardzo przyjemne. Jeszcze przed świtem krzątano się i hałaszono niepospolicie w domu i na podwórzu. Nie mogłem więcej zasnąć. Gdym na dół zeszedł, siedziała już Sara w kuchni wystrojona, w kapeluszu czarnym z białym długim woalem. Ojciec, matka, babka i wszystkie dzieci siedziały również świątecznie ubrane około komina. Wszyscy pili herbatę i zajadali pieczywo. Na drodze za bramą uganiało się kilka tuzinów chło-

paków, których kapelusze zdobiły wstążki i bukiety.

— Cóż to są za ludzie — zapytałem?

— To jest Sary straż bezpieczeństwa — odpowiedział ojciec Williams.

Sary straż bezpieczeństwa uwijała się koło pracy, jak gdyby szło o usypanie reduty albo oszańcowanie obozu. Jednego kroku nie zrobiłem abym nie natrafił na jaką przeszkodę. Tu przeciągnięto przez drogę długie i grube powrósło, tam znowu postawiono barykadę z kamienia.

— Po cóż wy to wszystko robicie — zapytałem komendanta straży bezpieczeństwa?

— Ażeby pan młody i jego ludzie nie mogli wejść tutaj, była odpowiedź.

Brama była na oścież otwarta ale w środku wchodu wbito pal wysokości człowieka, na jego wierzchołku znajdował się gwóźdź, przytrzymujący belkę, kręcić się na obie strony mogącą. Jeden koniec tej belki był szeroki i płaski, na drugim zaś wisiał spory worek piasku.

— A to wszystko na co? zapytałem.

— To jest *Gwyntyn* — odpowiedział naczelny wódz.

— A na cóż ten gwyntyn?

— Aby nie wpuścić pana młodego i jego ludzi — odpowiedziano lakonicznie.

Zdawało się, że się w stanie wojennym znajdujemy. Chłopcy pracowali tak gorliwie jak gdyby szło o zbawienie ojczyzny.

Nagle dał się słyszeć w dali przeraźliwy głos piszczałki.

— To jest sygnał — zawołał wódz naczelny — już nadchodzą. Dalej chłopcy na swoje stanowiska.

Sześciu chłopaków ulokowało się na gwyntynie, po obu stronach po trzech, reszta cofnęła się do domu. Ja stanąłem na boku.

Nieprzyjaciel rzeczywiście się zbliżał. Ziemia stękała pod kopytami rumaków, bo wszyscy byli konno. Był to oddział złożony najmniej z pięćdziesięciu chłopców. Większa część miała małe walijskie górskie koniki albo *ponis* które tutaj nazywają *merlyns*. Na czele jechał gwizdek. Koń jego był całkiem okryty kocami, pióropuszami i wstęgami. Wyglądał jak koń drewniany w karuzelu. Za pierwszym jeźdźcem jechał Griffith jako naczelnik, a że miał nadzwyczaj długie nogi a konika bardzo małego, więc zamiatał niemi gościniec. Poczem postępowała reszta oddziału — po pięciu w szeregu, w środku pierwszego jechał Owen.

Cała drużyna stanęła przed gwyntynem.

— Puścicie nas czy nie — zapytał gwizdek?

— Nie puścimy, odpowiedzieli chórem wszyscy sześciu ze straży Sary.

— A więc naprzód, marsz — zakomenderował Griffith.

Ruszono naprzód. Gwizdek chciał prześliznąć się z koniem pod jednym końcem ruchomego belka, ale nie był zręcznym, dostał tak silne uderzenie w twarz drugim końcem, że zleciał z konia. Przyjaciele i nieprzyjaciele wybuchli homerycznym śmiechem; lecz gwizdek nie zważał na nic, podniosłszy się z ziemi przeprowadził konia przez gwyntyn, odszukał piszczałki, która mu przy upadku gdzieś wyleciała, i zaczął już na nieprzyjacielskiej ziemi tak przeraźliwie gwizdać, żem musiał uszy pozatykać. Griffith przeszedł zręcznie jak wodzowi przystało, lecz Owenowi nie udała się sztuczka — runął jak długi na ziemię. Ale tu szło tylko o to aby przejść — źle czy dobrze, o już wszystko jedno. Po godzinnym ataku znajdowała się już cała drużyna na nieprzyjacielskiem terrytoryum. Powrózła poprzeciągane przez drogę i barykady kamienne stanowiły już słabe przeszkody.

Gdy cała drużyna stanęła przed domem — znalazła drzwi zamknięte; ze wszystkich okien wyglądały głowy — Sara stała w oknie swojej izdebki. Jest zwyczaj w Walii, że do tego ostatniego ataku nie używa się ani żelaznych dragów ani innych narzędzi — jeno wierszy. Muszą tak długo szermierzyć wierszami, aż dopóki partya zamknięta w domu nic odpowiedzieć nie potrafi — poczem twierdza musi się poddać. Lecz Griffith był najlepszym wierszorobem w całej okolicy; umiał wszystkie *Penniliony* (rymy ludowe Walijskie) na pamięć — a nawet w tworzeniu nowych, był bardzo zręcznym. Jemu nikt nie mógł zrównać. Dla tego-to obierano go zawsze dowódzcą straży pana młodego.

Więc kazał zagwizdać introdukcyę na piszczałce i zaczął:

«Wy ludzie otwórzcie te drzwi
I wydajcie dziewczynę mi.»

Dowódzca straży panny młodej odpowiedział w oknie stojąc:

«Kto nas zwycięży zwrotami wymowy
Ten wprowadzi pannę do swej alkowy.»

— Dobrze — odpowiedział Griffith — więc wam zadam zagadkę. —

«Czego mąż w domu znosić nie potrzebuje?

W oknie stojący odpowiedział:
«Gdy zła żona ciągle pyskuje —
«Gdy go czasem także drapie
«Gdy z sufitu na nos kapie.»

— To była nie zła odpowiedź — rzekł Griffith — teraz wy możecie się zapytać:

Naczelnik straży panny młodej pytał:

Wymień trzy rzeczy niespokojne *wasze*?

Griffith odpowiedział:

Świnie gdy idą w gromadzie na paszę
W południe skorupa ślimaka
I gęba Jaśka nieboraka.»

Gdy całe towarzystwo wyjawiło swoje zadowolenie, zaczął Griffith:

Pytanie: Rzecz od złota cenniejszą?
Odpowiedź: Co ma wartość niemniejszą?
Pyt. Co ma wartość niemniejszą?
Odp. Czystość duszy!
Pyt. Co większą jeszcze?
Odp. Żona usposobienia łagodnego.
Pyt. A co jeszcze większą?
Odp. Większego niewiem od tego.

Złapanyś — krzyknął Griffith — nie umiesz odpowiedzieć na moje pytanie — więc otwórzcie drzwi.

— Nie, nie — krzyczano z góry, to podstęp — to zdrada! Przysłowie całe skończone, doskonaleśmy je wyrecytowali — Przecież musieliśmy tak powiedzieć, jak się oddawna mówi.

— Poczekajcież — rzekł Griffith po cichu do gwizdka — teraz zadam zagadkę której nie zgadną — wymyśliłem ją w tej chwili — gwizdku zrób przegrywkę — gwizdek zapiszczał — ale wydawał najprzeraźliwsze i najfałszywsze tony jakie kiedykolwiek słyszano.

Griffith odezwał się, spojrzawszy z tryumfem na swoich towarzyszy:

Wymień trzy rzeczy dla mnie nieznośne.

Mowca przeciwnej partyi zmieszał się widocznie:

— Gdybyś mi kazał wymienić trzy rzeczy, które ci nie są nieznośne, byłbym ci odpowiedział.

— O tom się pytał, o co mi się podobało pytać — krzyknął Griffith i zacisnął groźnie obie pięści.

Po dość długiej sprzeczce poddała się nareszcie forteca.

— Hej Griffith — wołano ze wszystkich stron — my nie wiemy, powiedz-że sam, Griffith mówił:

W niedzielę pług zawodzić,
Boso po żelazie chodzić —
Słuchać gdy dziecko rozprawia,
Wszystko złości mnie nabawia.

(Dok. nast.)

Do dzisiejszego numeru dołącza się rycinę mód za miesiąc Luty, dla prenumerujących się na nie.

K. J. Turowski, Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Drukiem Fr. Xaw. Pobudkiewicza.